

DOM STAŁ PRZY Dresden Avenue w Oak Knoll w Pasadena. Był to duży solidny chłodny budynek o ścianach z ciemnoczerwonej cegły i terakotowym dachu, z wykończeniami z białego kamienia. Okna na parterze oprawiono w ołowiane ramy. Te na piętrze były w stylu wiejskim i okalały je fikuśne rokokowe ozdoby z imitacji kamienia.

Od frontowej ściany i czuwających przy niej kwitnących krzewów rozległy zadbane trawnik spływał ku ulicy łagodną pochyłością, po drodze omywając rozłożysty cedr himalajski, niczym zielona fala skałę. Zarówno chodnik, jak i podjazd były bardzo szerokie, a przy drodze rosły trzy białe akacje, na których nie sposób było nie zawiesić oka. Czuło się wyrazisty zapach letniego poranka i wszystko, co wyrastało z ziemi, trwało w idealnym bezruchu, zderzone z duchotą dnia, który według miejscowych uchodził za przyjemny i rześki.

O potencjalnych zleceniodawcach wiedziałem tyle, że chodzi o panią Elizabeth Bright Murdock i jej rodzinę. Chciała zatrudnić dobrze wychowanego prywatnego detektywa, który nie będzie strząsał popiołu z papierosa na dywan ani nosił przy sobie więcej niż jednej sztuki broni. Wiedziałem też, że była wdową po starym pierniku z bokobrodami, który nazywał się Jasper Mur-

dock, zarobił mnóstwo pieniędzy na działalności charytatywnej, jego fotografię, uzupełnioną o daty narodzin i zgonu, z podpisem „Życie było dla niego służbą”, publikowano zaś w lokalnej gazecie w każdą rocznicę śmierci.

Zaparkowałem na ulicy i przeszedłem po kilkudziesięciu wkopanych w trawnik kamieniach, po czym nacisnąłem dzwonek do drzwi pod portykiem z cegły, osłoniętym spiczastym daszkiem. Wzdłuż frontu, od wejścia do końca alejki wjazdowej, ciągnął się krótki niski mur z czerwonej cegły. Na końcu ścieżki, na betonowym postumencie stała niewielka malowana figurka Murzyna w białych jeździeckich bryczesach, zielonej marynarce i czerwonej czapce. Chłopak trzymał bat, a u jego stóp zamocowano żelazny pierścień, do którego przywiązywało się konie. Wyglądał na smutnego, jakby wystawał tutaj już nazbyt długo i zdążył się zniechęcić. Podszedłem do niego i poklepałem go po głowie, czekając, aż ktoś mi otworzy.

Po chwili drzwi uchyliły się nieco i zobaczyłem ponurą służącą w średnim wieku, która zmierzyła mnie wzrokiem.

– Philip Marlowe – przedstawiłem się. – Przeszedłem do pani Murdock. Byliśmy umówieni.

Jęzda zgrzytnęła zębami, przymknęła oczy, na powrót je otworzyła i odezwała się chrzęszczącym jak żwir głosem charakterystycznym dla niegdysiejszych mieszkanek pogranicza.

– Z którą?

– He?

– Z którą panią Murdock? – niemal wrzasnęła.

– Z panią Elizabeth Bright Murdock – odparłem. – Nie miałem pojęcia, że są inne.

– No są – odwarknęła. – Ma pan wizytówkę?

Nadal nie otworzyła drzwi szerzej. Wystawiła przez szparę jedynie czubek nosa i chudą, lecz silną dłoń. Wyciągnąłem portfel i wydobyłem z niego kartonik z moim nazwiskiem, który jej podałem. I dłoń, i nos zniknęły za drzwiami, które zatrzasnęła mi przed oczyma.

Pomyślałem, że może powinienem być zapukać z tyłu. Podszedłem do figurki Murzyna i raz jeszcze poklepałem go po głowie.

– Bracie – powiedziałem – taki nasz los.

Czas mijał. I to całkiem sporo czasu. Włożyłem papierosa do ust, ale go nie przypaliłem. Obok domu biało-niebieską furgonetką przejechał sprzedawca lodów. Z głośnika dobiegało *Turkey in the Straw*. Na krzaku hortensji tuż przy moim łokciu przysiadł duży czarno-złoty motyl, który wylądował po nierównym locie. Kilka razy zatrzepotał ociężałe skrzydłami, po czym wzbił się z trudem, torując sobie drogę przez niemrawe, przepojone upałem powietrze.

Drzwi ponownie się otworzyły.

– Tędy – powiedziała jęcza.

Wszedłem do środka. Znalazłem się w dużym kwadratowym i chłodnym pomieszczeniu. Panował w nim spokój jak w kaplicy na cmentarzu, zresztą unosił się tam podobny zapaszek. Na stiukowych ścianach wisiały makaty, a za wysokimi oknami umieszczono żelazne kraty imitujące balkony. Tu i ówdzie stały ciężkie rzeźbione krzesła z pluszowymi siedziskami, dekoracyjnymi obiciami i zmatowiałymi połączanymi frędzlami po

8 WYSOKIE OKNO

bokach. Na ścianie w głębi widniał witraż wielkości kortu tenisowego. Pod nim znajdowały się zasłonięte kotarą przeszklone drzwi tarasowe. Był to staroświecki pokój, cuchnący stęchlizną i niegustownie urządzony; czysty, ale nieprzyjemny. Wyglądał, jakby nikt nigdy w nim nie przesiadywał ani nawet nie nosił się z podobnym zamiarem. Stały tu stoły o marmurowych blatach i wygiętych nóżkach, połączane zegary i niewielkie rzeźby z dwukolorowego marmuru; sporo śmieci, których odkurzenie zajęłoby z tydzień. Masa zmarnowanych pieniędzy. Przed trzydziestoma laty, kiedy Pasadena była jeszcze bogatą, cichą i prowincjonalną miejsciną, ten pokój musiał robić niemałe wrażenie.

Przeszliśmy do korytarza. Kawalek dalej jędza otworzyła drzwi i gestem zaprosiła mnie do środka.

– Pan Marlowe – rzuciła nieprzyjemnym głosem i odeszła, zgrzytając zębami.